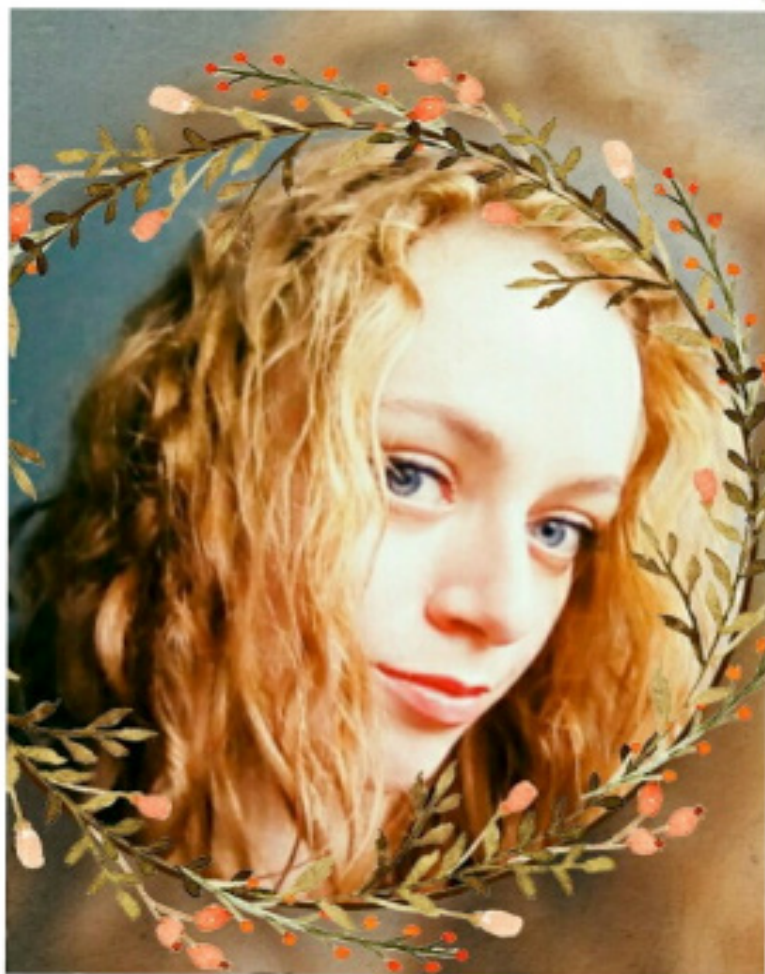


Aleksandra Justyna Kulawik

Listonosz *dobrych wieści*

Szczęśliwego Nowego Roku!



Aleksandra Justyna Kulawik

Listonosz dobrych wieści

Szczęśliwego Nowego Roku!

© Copyright by Aleksandra Justyna Kulawik
& e-bookowo
Fotografia na okładce: Aleksandra Justyna Kulawik
Projekt okładki: Aleksandra Justyna Kulawik

ISBN: 978-83-7859-918-0
Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl
Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2018

Rozdział 1.

Styczeń, luty, depresja

Pierwsze dni stycznia

Zimno, ciemno i ponuro, że aż chce się wyć do księżyca na samą myśl o wychodzeniu na dwór. Takie są uroki stycznia. Prawie czuję ten chłodny wiatr, który oblepia fragmenty mojej skóry, wystające spod grubego swetra, jak kawiorowa maseczka do twarzy dla pięćdziesięciolatek. Obrzydlistwo. Dziś jest wręcz idealny nastrój dla samobójców – tak 8 w skali od 1 do 10. Ludzie snują się po ulicach jak cienie. Dzieci potykają się o swoje stopy. Kobiety poubierane są na czarno i czerwono z papierosem w ustach a mężczyźni na kacu drą się na kierowców, kiedy sami wężykiem przechodzą na czerwonym świetle przez ulicę, bo przecież w taki dzień, jak dzisiaj, wszystko im wolno. Nowy rok, nowe przepisy, nowe postanowienia, których i tak nikt nie dotrzymania.

Sąsiad, który mieszka nade mną, jak zwykle pali papierosy i strzepuje przyprawiony deszczem popiół na mój parapet. Dlaczego? Z popielniczki zrobił karmnik dla

ptaków, to przecież w karmnik nie wsadzi petów, prawda? Pozornie dba o czystość i zdrowie małych przyjaciół z połamanej sosny, z na przeciwka. Zastanawiałeś się kiedyś, jak w ogóle można palić papierosy? Rozmawiałeś z kimś na ten temat? A może sam palisz? Powiem ci, co o tym myślę. Takie moje chwilowe wtrącanie się w twoje życie, żebyś wiedział, że zależy mi na życiu każdego człowieka na tym „leż padole”. Życie jest najbardziej cennym darem, jaki człowiek otrzymał, więc, moim zdaniem warto o nie dbać. Jestem osobką niepalącą, która odpycha od siebie wszelkie nałogi tego świata (no, może poza kawą i czekoladą, ale nad tym pracuję). Palić papierosy to tak, jakbym trzymała w ustach zużytą, śmierdzącą, parodniową skarpetę i chwalała się żółtymi zębami i poplamionymi palcami na lewo i prawo, nie wspominając już o tym, że ubrania cuchną, jakbyś pracował w prosektorium, a i goście, których zaprosisz dostaną sporą dawkę trucizny w płucko. Brzmi „optymistycznie”, nie? Takie są moje przemyślenia związane z paleniem papierosów i życiem palaczy w nawiązaniu do spadającego mi regularnie na głowę popiołu. Wracając do mojego „ukochanego” sąsiada z góry, kiedy ten człowiek pali papierosa, dym i popiół lecą na mój parapet, a wcześniej na okno sąsiadki z góry. Ona ćwiczy przez to dzień w dzień łacinę podwórkową, a jej dziecko cieszy się z tego popiołu jak ze śniegu na święta, bo może wtedy palcem na szybie zrobić jakiegoś fikuśnego bazgrołka. Po dłuższej chwili zastanowienia ten mokry popiół na moim parapecie nawet zaczyna coś przypominać. Może to dobry pomysł

na Andrzejkowe wróżby? Chyba wezmę i ulepię z niego bałwana na Boże Narodzenie w grudniu. Jak dobrze pójdzie, to do tego czasu na moim parapecie będzie już kilka kilogramów popiołu, co na pewno starczy na Mikołajki, Boże Narodzenie – a jak zamarznie – to postawię kilka figurek przed kamienicą. Dzieci będą miały w co rzucić śnieżkami, a psy skorzystają ze świątecznej latryny.

Kolejny raz wyglądam przez okno w poszukiwaniu optymizmu. Nigdzie go nie widać i nie słychać. Może spadnie z nieba razem z deszczem? Tak naprawdę jedyne co przychodzi mi do głowy, to wskoczenie z powrotem do łóżka. Nawet mam wyrzuty sumienia, bo w domu moja matka co dzień mi mówiła, że w łóżku leżą tylko lenie i nieroby. Niepotrzebnie wczoraj myłam okna. Tak bardzo chciałam się przyjrzeć z bliska tym pesymistom na ulicy, że moje czoło odbiło się na umytej szybie i teraz znowu będę musiała ją wyczyścić. Jedyne plus tej całej sytuacji wygląda tak, że wreszcie mogę zastanowić się na spokojnie nad swoim życiem. Wielka karierowiczka, która nie ma faceta, ulubionego serialu, zwierzaka czy ptasiej kupy na oknie (podobno przynosi szczęście). Lekarz mi mówił, że czasem fajnie jest na głos wypowiadać swoje pytania, bo wtedy słyszymy nasze myśli jasno i wyraźnie.

No to się pytam:

– Jak to jest mieć wszystko? Czy to dobrze czy źle...
– chwila zastanowienia. – A skąd niby mam to wiedzieć?!
Co ja w ogóle zrobiłam?! Ile jeszcze mam żyć jak wesz na czyjejs głowie?

Tak właśnie się czuję i za nic w świecie nie wiem, co zrobić, żeby poczuć się w tej chwili lepiej. Cały czas przypominam sobie, w jaki sposób żyłam do stycznia tego roku i aż dostaje spazmów i zawrotów głowy. No bo wiesz, kiedy siedzisz i pijesz popołudniową kawę, bo przecież nie musisz wstawać skoro świt, żeby biec do zniechęconej roboty za minimum państwowe, w której pastwią się nad tobą głuchonieme sępy (nie słyszą twoich prośb o pomoc, ani nie odpowiadają na twoje pytania), dokładając ci obowiązków, trosk i codziennych ploteczek przy „kawuniuni”, która smakuje jak siki wiewiórki chorej na wściekliznę – doceniasz to, że siedzisz sam w domu przed komputerem i wystukujesz swój pomysł na życie na klawiaturze bez żadnych trucicieli nad głową. A tam w korporacji weźmiesz łyka takiej wścieklej kawy i od razu podnosi ci się ciśnienie i to nie przez smak tej obrzydliwej wypłuczyny przeterminowanego sortu, ale dlatego, że od towarzystwa, które cię otacza, chce ci się po prostu wymiotować paragonami, które wklepujesz dzień w dzień do systemu.

Jest jeszcze druga opcja – zarażasz się wścieklizną i kąsas swoich znajomych po wyjściu z roboty, jako odregowanie po całym dniu w tej przesadzonej, plotkarskiej, mega sztucznej atmosferze. Panowie pod krawatem udający, że pracują tu dla swoich żon, dzieci... a w rzeczywistości „pukają”, co im w ręce wpadnie w męskiej toalecie, po konferencjach, na szkoleniach seks–integracyjnych, czy innych pseudo korpo–impreskach. Myślisz, że tak nie jest? No cóż. W takim razie żyj sobie jak do tej pory i wierz

w to, że świat jest ucieleśnieniem cnót i prawości. Może dzięki twoim modlitwom kiedyś to nastąpi. Tak czy owak – zyczę ci powodzenia w misji zbawienia świata, a ja zajmę się swoim życiem, bo wreszcie uwolniłam się od bandy szcurów, które widzą tylko ser, a na resztę spraw mają nałożone klapki na oczy albo kondona na twarz, żeby się skutecznie obronić przed byciem miłym.

Zmiana stanowiska pracy to kropla w morzu zmian całego twojego życia. To wcale nie taka prosta sprawa!

Aż chce mi się momentami krzyczyć ze smutku, rozżalenia i kilkunastu wyrzutów sumienia, ale później pewnie się okaże, że to było takie moje „ojej”, i zaraz wszystko wróci do normy. Zrezygnowałam z pracy w korporacji i odstawiłam na bok wszystkich cwaniaków. Jakie były skutki mojej decyzji? Moim rodzicom bardzo się nie spodobało, moim znajomym też to się nie podoba, a moim przyjaciółkom – no cóż – mają to gdzieś, bo to były tylko podszywające się pod przyjaciół korpo-gnidy do kwadratu. Mam w sobie tyle złości, wściekłości, nienawiści, rozżalenia, agresji, emocji – zła ściągniętego ze wszystkich stron świata i co? Nie mam teraz nawet na kim tego rozładować. Co do pracowników w mojej byłej roboty:

– Oby ich ktoś kiedyś tak przeanalizował, jak te wykresy w Excelu, które kazali nam robić 8h dziennie! A kysz szuje, mendy i inne toksyczne wypierdki bajek dla dorosłych! Pozbędę się całego balastu z mojego starego życia. Taki jest plan. Słyszycie?! Zrobię to!

Pomysł jest dobry, ale gorzej z jego realizacją. Jak ja to

zrobię? W jaki sposób doprowadzę do takiego stanu, że będę miała spokojną robotę, odnowię kontakty z rodziną i poznam królewicza z bajki dla dorosłych? No jak?! Jakby to było takie proste, nie wypisywałabym tych wszystkich wywodów na tylu kolorowych kartkach. Nie wiesz, dlaczego piszę to wszystko, co myślę na kartkach? To ci powiem. Tak. Przyznaję, że byłam u psychologa, laryngologa, ginekologa i innych lekarzy z końcówką – *loga*, chociaż nie mam pojęcia, czy mi to w jakiś cudowny sposób pomoże. Daj Boże, niech coś się zmieni, bo mam już w głowie taki mętlik, że największa pajęczyna świata by tych wszystkich wspomnień nie pomieściła w postaci much owiniętych w sieć. A gdzie pająk? Duży, tłusty i głodny pająk, który rozwiąże moje problemy w tym szaroburym zbiorniku łez i rozpaczy?

– Ja chcę pająka tu i teraz! Dajcie mi pająka!

Rozdarłam się na cały głos w pokoju, a nie zauważyłam, że mam otwarte okno. Pan Mieciu stał akurat z faszka turbo kuli przy śmietniku i łypnął na mnie swoim czerwonym jak wiśnia w spirytusie okiem. On jedyny odpowiedział na moje wezwanie. Czyżby to był mój anioł stróż? Zaraz, mój anioł stróż jest menelem? Serio, serio?

– Pani zejdzie do piwnicy. – Beknął z pełnej piersi, aż trzy okna w bloku obok zatrzasnęły się jednym mocnym łubudu. – Tam jest pełno tego plugastwa. Na pewno jakiś na panią skoczy.

Chyba pójdę jeszcze raz do psychologa. Nie dość, że gadam sama do siebie, to jeszcze jedynymi osobami, które

się do mnie odzywają, to menele. Ten młodszy psycholog z NFZ wydawał mi się nawet seksowny. A gdyby tak jeszcze ktoś mu dał pięścią w twarz, to nawet i nos miałby całkiem prosty. To chyba dobry pomysł. Tak. Idę do psychologa po raz piąty w tym miesiącu. Wreszcie mnie ktoś wysłucha i przytuli, a jak nie, to dam mu ze dwie stowy w rękę, to może i obmaca? Ech, te moje fantazje. Tak to jest, kiedy żyje się tylko pracą i w pewnym momencie okazuje się, że życie polega na czymś zupełnie innym, dojrzalszym, bardziej przemyślanym, z mniejszą dawką słów „praca” i „kasa”, a z większą ilością przyjaciół, rodziny, „cieszę się” i... z mężczyzną moich popapranych marzeń, który pewnie uśmiecha się do mnie na ostatniej stronie „Play Girls” (taki odpowiednik męskiego „Playboya”).

I jak tu nie zwariować?!

Wizyta u psychologa

Dzisiaj jest ten wielki dzień, na który od dawna czekałam. Dzień, w którym wyrzucam wszystko z szafy i staram się znaleźć jakiegokolwiek ubrania, w które się zmieszczę. Ważyłam koło sześćdziesięciu kilogramów przy wzroście metr pięćdziesiąt pięć, kiedy byłam nastolatką. To chyba dużo, prawda? Teraz mam prawie metr osiemdziesiąt a ważę pięćdziesiąt osiem kilogramów. Powiedziałabym, że mam niedowagę. Wszystko przez tę zwariowaną pracę w ciągłym stresie, strachu. W pewnym momencie ważyłam nawet poniżej pięćdziesięciu kilogramów. Reasumując, po odejściu z korpo-shitu straciłam dużo z masy ciała, pięć kilo do-

datków do ubrań, ale jestem bogata w dwa kilogramy kosmetyków, pięć zakietów i dziesięć par nadprogramowych butów, których już chyba nie będę potrzebowała. Kopię i kopię, a w tej szafie – nadal nic. Już dwie godziny wykonuję syzyfowe prace a żadna sukienka, zakieciak, luksusowa bielizna – totalnie nic się do mnie nie uśmiecha, mówiąc: Bierz mnie tu i teraz! Będę na tobie leżeć idealnie. Porażka do kwadratu. Same korporacyjne ciuchy. Nawet na randkę nie miałabym w co się ubrać, bo od razu dostałabym plakietkę „pani z działu windykacji”, która zaraz będzie chciała na coś mnie naciągnąć. Masakra w biały dzień! Ile razy jeszcze muszę krzyczeć, żeby coś znaleźć?! Jestem porirytowana. Chyba zacznę pisać ten dziennik innego dnia, bo mi żyłka przy skroni pęknie i krew zaleje moją garderobę. A szkoda by było stracić coś od Gucciego i Versace. Chlip, chlip. Wtedy to dopiero miałabym ciężką depresję.

(10 minut później) Wreszcie coś mam. Spódnica ołówkowa i zielony, lekko pomarszczony T-shirt z napisem „Kocham życie!”. Pewnie od razu pomyśli, że chcę sobie humor poprawić, bo na kochającą życie to ja nie wyglądam, tym bardziej, że leczy mnie na głęboką depresję. To chyba moja ostatnia deska ratunku. Moje pozostałe ubrania krzyczą: Ona kocha luksus!, a przed psychologiem z NFZ lepiej nie wyskakiwać z czymś na bogato, bo jeszcze znieczulenia nie dostanę. Chyba za bardzo się przejmuję tą wizytą. W końcu chcę dobrze wypaść. Może doradzi mi, co zrobić, żeby moje życie nabrało kolorów, albo wypisze receptę na nielegalne prochy, które ułatwią mi zejście z tego

świata. Jedna i druga opcja mi odpowiada, więc nie ma co się ociągać – czas na wizytę u psychologa. Czy ja znowu gadam sama do siebie?

Pod baczным okiem psychologa

Siedzę już dwie godziny na krześle, które skrzypi, ma dziury w tapicerce i śmierdzi niemytym żulem. Skupić się nie mogę na swoich problemach w takich warunkach zapachowych. Ten psycholog chyba też dzisiaj nie jest w za dobrym humorze, bo co chwilę mam mu opowiadać o najmroczniejszych zakamarkach swojej duszy, po czym traci mowę i jak już go odetka po kwadransie, to tylko odchrząknie coś pod nosem, i znowu zadaje jakieś bezsensowne pytanie:

– Ile jajek dzisiaj pani zjadła na śniadanie?

I czemu to niby ma służyć? Powie mi, że dobrej kury ze mnie nie będzie, czy raczej, że kogut mnie zostawi, bo nie mam jaj? Kurza twarz (czyt. o cholera!). Siedzę tu już czwartą godzinę i jeszcze nie usłyszałam o recepcie na moje nędzne życie. Co by tu zrobić? Pytanie za pytaniem:

– Kiedy ostatnio był pan na randce? – chrząknęłam pod nosem.

– Słucham? – Zmrużywszy oczy poprawił okulary i spojrzał na mnie ten *psychologus dociekantus*.

– Kiedy widział się pan z jakąś kobietą na spotkaniu tylko we dwoje? – Zastanawiałam się, czy zadać mu to pytanie, czy nie. W końcu ja tu przyszedłam na wizytę a nie odwrotnie, czyż nie?

– W pięćdziesiątym siódmym. – Doktor Edward spoważniał i z miną zniecierpliwionego dziecka czekał na moje kolejne pytanie, które prawdopodobnie go dobije.

– To ile pan ma lat? – Zaczęłam zadawać coraz bardziej bezpośrednie pytania. Może to ja powinnam prowadzić tę sesję terapeutyczną?

– Przyszliśmy tu, żeby leczyć panią, a nie mnie. – No, wreszcie powiedział coś jak psycholog – burknęłam pod nosem. Wzięłam głęboki oddech i czekałam na pytanie krzyżowe (może ugodzi mnie w krzyż a nie w serce).

– Skoro już tyle pani o mnie wie, to teraz ja zadam podobne pytanie. A kiedy pani była ostatni raz na randce?

– Dwanaście godzin temu.

– Cóż za dokładność. I jak wrażenia? – Podwinął wąsika jak alfons na ulicy przy swojej prywatnej pani do towarzystwa i czekał, co powiem i zrobię, bo miałam minę poirytowanego chomika, który utknął w kołowrotku, z którego długo nie wyjdzie, a co dopiero marzyć o marchewce.

– Do niczego. – Mina mi zrzedła, a głos spoważniał.

Byłam pod wrażeniem, kiedy poznałam tego faceta. Elegancko ubrany w garnitur z białą chusteczką w kieszonce. Prawił mi komplementy i dawał kwiaty, żebym się wreszcie skusiła na spotkanie tylko we dwoje. Zabrzmiało jak opis romansu? Przepraszam. To miało brzmieć bardziej dramatycznie. Już się poprawiam.

– Czułam się tak, jakbym oglądała jakiś serial w telewizji. Siedziałam i słuchałam, a tamten fircyk miał słowotok. Cały czas gadał i gadał o aktualnych wydarzeniach.

No, wie pan: gwałty, katastrofy, zamknięcia banków, lawiny. O takich rzeczach chyba nie opowiada się na pierwszej randce? Tym bardziej, że mam głęboką depresję, to przecież mogłam tam strzelić samobója. Zamiast wysłuchiwać jego bełkotania zamówiłam gorzką czekoladę i całkowicie oddałam się jej popijaniu. Ten smak, aromat, nutki czekoladowe – super! Kiedy moja czekolada się skończyła i zobaczyłam dno w kubku, podniosłam głowę i moim oczom ukazała się chrapiąca, męska rozgłośnia niby telewizyjna. Zapłaciłam za siebie i wyszłam, a ten dalej spał. Ta randka była jedną z najnudniejszych, jakie wytrzymałam do samego końca. Całe szczęście, że mieli tam tę pyszną czekoladę. Pewnie następnym razem też tam pójde, ale już sama. Nie zamierzam się z nikim dzielić tym luksusowym smakołykiem. – Westchnęłam jak po ciężkim dniu w pracy. – Taka była moja ostatnia randka. Co pan na to?

– Miała pani pecha. – Poprawił jeszcze raz okulary. Chuchnął na szkiełka, przetarł je ostrożnie i odłożył swoje drugie oczy na biurko. – Nigdy wcześniej nie słyszałem o takim mężczyźnie. Wprawdzie, zdarza mi się usnąć ze stopami w misce z gorącą wodą, papierosem w ustach, szklanką tequili w lewej ręce przed telewizorem, ale na mieście – i to przed kobietą – jeszcze mi się coś takiego nie przytrafiło.

– Pana szczęście. To teraz już pan wie, że tak można. Tacy faceci też istnieją, dlatego moje marzenia o poznaniu królewicza z bajki (ale dla dorosłych) coraz bardziej topnieją, bo co randka, to klapa. – Przetarłam oczy chusteczką, bo zbierało mi się od dobrej godziny na płacz po tej

rzewnej opowieści.

– Pani Aniu, co jest teraz dla pani najważniejsze w życiu? Nad czym chce pani popracować, żeby było lepiej? Myślenie o samych niepowodzeniach nic nie da. Poszukajmy czegoś pozytywnego, dobrze?

Tak szybko zmienił ton rozmowy, że przez chwilę przemknęło mi przez głowę, że może wysłuchiwanie jak inni ludzie cierpią, wypłakują mi się tu w gabinecie, prawie żyły sobie wypruwają – poprawia mu humor. Zamiast dalej się nad tym zastanawiać, powiedziałam prosto z mostu:

– Okej. Kiedyś myślałam, że praca jest najważniejsza, to każdego dnia żyłam tylko nią. Wieczorami myślałam o tym, co będę przeliczać przed biurkiem, o czym powiem szefowi, jakie udoskonalenia w raportach zrobię – totalnie wszystko kręciło się wokół mojej pracy. Teraz, kiedy już sprzedałam dom i przeniosłam się do M4 w kamienicy, ubieram się w zwykłe ciuchy z pobliskich supermarketów i jem proste posiłki, które sama staram się zrobić, to też mi nie pasuje. To nie moje życie. Chcę poznać wiele pozytywnych osób, odzyskać kontakt z rodziną i znajomymi, nazwać wreszcie kogoś przyjacielem a nie korpo- gnojkiem, stać się bardziej ludzka, zadbać o siebie (swoje ciało), nauczyć się żyć fit, zapisać się na siłownię, chodzić do fryzjera, uprawiać sport i poznać faceta moich marzeń.

– Pani Aniu, to nie za dużo na raz? Może najpierw popracuje pani nad jedną z tych rzeczy, a potem pomyśli o reszcie?

– Chyba ma pan rację. Ja to bym chciała już – tu i teraz

– wszystko na raz dostać, osiągnąć, ale tak się chyba nie da zrobić? – Opuściłam wzrok tak nisko, że prawie poczułam smak drewnianej podłogi w gabinecie Edwarda. Co on teraz powie? O co mnie zapyta? Już chyba czuję zmęczenie.

– Tak właśnie jest. Nie da się tylu rzeczy zrobić na raz. Zajmijmy się wreszcie pani depresją. Niech pani pisze dalej ten dziennik, bo będzie pani na bieżąco ze swoimi przemyśleniami.

– Piszę w nim dzień w dzień, ale jak tak dalej pójdzie, to będę miała domową biblioteczkę tylko z tymi dziennikami. – Edward udał, że nie słyszy tego, co mówię i dalej ciągnął swój profesorski wywód.

– Proszę robić przynajmniej jedną lub dwie rzeczy na dzień, które sprawiają pani radość. Zabawa z kotkiem, mizianie myszki – zabrzmiało dwuznacznie – czytanie ulubionych książek, spacer, ćwiczenia – wszystko to, co panią bawi. Co do reszty, może pójdzie pani do jakiegoś biura matrymonialnego lub umieści ogłoszenie w gazecie, że chce pani kogoś poznać?

– A biura matrymonialne nie wyszły przypadkiem z mody?

– Z tego, co się orientuję, to nie. Widzi pani, od czasu do czasu sam umieszczam w gazetach ogłoszenia w dziale matrymonialnym. – Dlaczego mnie to nie dziwi? – Piszę w takich ogłoszeniach, że chętnie umówię się z miłą, ciepłą panią w średnim wieku na kawę i ciastko w malutkiej kafejce przy teatrze. – Dobrze, że dopisał „ciepłą”, bo jeszcze jakaś nieboszczka przyszłaby na randkę w ciemno.